

Tematy tygodnia

- 12 Ewa Siedlecka
Spór o TK wkracza w nową fazę
- 14 Łukasz Wójcik
Unia – z Tuskiem, bez Polski?

Polityka

- 17 Mariusz Janicki
Wiesław Władysław
Mit miażdżącej przewagi PiS
- 20 Rafał Kalukin
O tych, którzy przeszli na drugą stronę barykady
- 22 ROZMOWY ŻAKOWSKIEGO
Dan Ariely, profesor ekonomii behawioralnej, o tym, dlaczego politycy kłamią
- 26 Juliusz Ćwieluch
Generał Różański idzie na wojnę

Społeczeństwo

- 28 Agnieszka Sowa
Prokuratorzy zastraszeni i przekupywani
- 31 Rozmowa z prof. **Rafałem Wnukiem**, historykiem, o tym, jak kult wyklętych dzieli społeczeństwo
- 33 Aleksandra Puculek
Nocny dyżur z pijakami
- 36 Edyta Gietka
Piekło parafian ze wsi D.

Rynek

- 38 Adam Grzeszak
Fintechy – nowe spółki technologiczno-finansowe
- 41 Wojciech Morawski
Jak się dorobić

Świat

- 46 Justyna Prus ROSJA
Frustracja dyplomacji
- 50 Adam Krzemiński NIEMCY
Wzorowy obywatel Kermani
- 52 Adam Leszczyński SOMALIA
Prezydent przyjechał z Ameryki
- 54 Tomasz Zalewski USA
Specsłużby kontra Trump



12

Trybunał Konstytucyjny, nowe starcie



20

Polityczne transfery III RP



22

Epidemia kłamstwa



88

Cała Europa parodiuje Trumpa

Historia

- 58 Jerzy Kochanowski
Jak motoryzował się PRL
- 62 Aneta Prymaka-Oniszk
Tragiczne losy bieżenców

Nauka

- 66 Dariusz Jemielniak, Piotr Stec
Naukowa reforma papierowa
- 69 Michał C. Kacprzak
Niebezpieczna sztuczna inteligencja
- 70 Paweł Walewski
Przełomowe odkrycie polskiej embriologii

Kultura

- 76 Piotr Sarzyński
Dwie wystawy na stulecie awangardy
- 79 KAWIARNIA LITERACKA
Mikołaj Łoziński
- 80 Bartek Chaciński
Depeche Mode: zespół prawicy czy lewicy?
- 82 Justyna Sobolewska
Justyna Szklarczyk
Nasza nowa kolekcja: 15 superksiążek dla dzieci
- 84 Mirosław Pęczak
Efekt obcości według antropologów
- 87 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

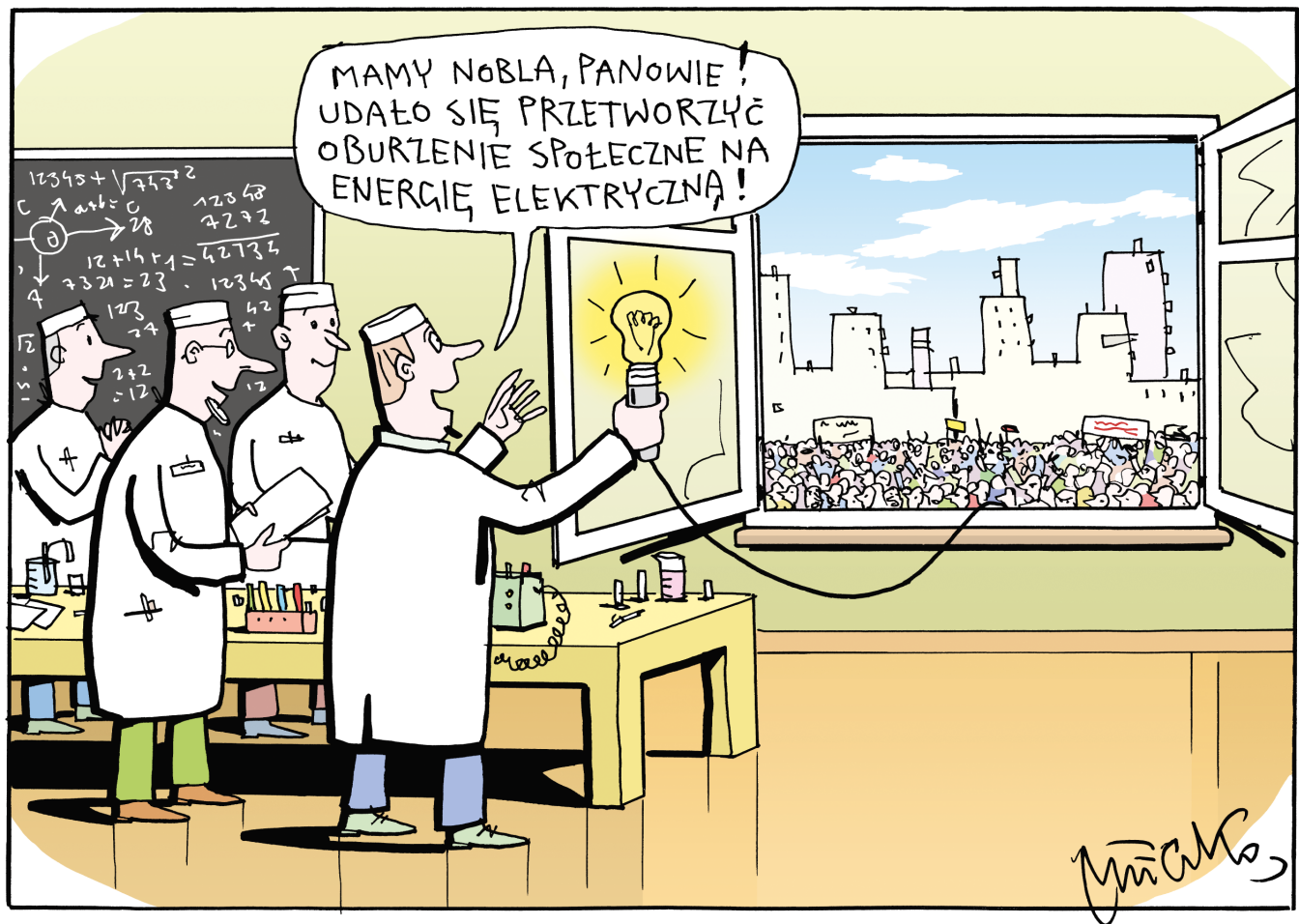
- 88 Ryszard Wolff
Każdy kraj chce być drugi
- 92 Marcin Piątek
Pospolite ruszenie kibiców Widzewa

Na własne oczy

- 100 Joanna Leszczyńska
fotografie Anna Musiałówna
Dobre serca z Legionowa

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 72 Afisz • 94 Passent • 95 Tym
- 96 Stomma • 97 Fusy, plusy i minusy • 98 Do i od redakcji
- 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Polska wierzba skacze na pochyłą kozę

Po przylocie do kraju premier Szydło zapewniła, że na szczycie w Brukseli odniosła zwycięstwo.

Jak rozumiem, polegało ono na tym, że wokół zwycięskiego kandydata na stanowisko szefa Rady Europejskiej Donalda Tuska udało się jej zjednoczyć wszystkich 27 przywódców krajów UE, co było misją trudną, ale – jak się okazało – nie niemożliwą. W efekcie wszyscy przywódcy na tego kandydata zagłosowali, tylko zwycięska Beata Szydło się wyłamała, pokazując, że posiada swoją godność i zasady, których zawsze będzie bronić.

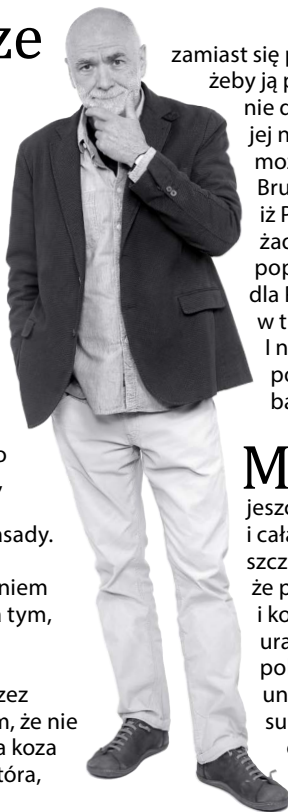
Trzeba powiedzieć, że w osiągnięciu zwycięstwa Szydło pomogło to, że przywódcy 27 państw cały czas myśleli, że chodzi jej o to, żeby jej kandydat wygrał, a nie żeby przegrał tylko po to, żeby ona mogła pokazać, że ma zasady. Dla niektórych takie zmylenie europejskich partnerów przez polską premier było trochę nie fair, ale moim zdaniem pretensje są nieuzasadnione, bo polityka nie polega na tym, żeby grać fair, tylko żeby być skutecznym.

Jak stwierdził Jarosław Kaczyński, reprezentowana przez Beatę Szydło Polska udowodniła swoim zwycięstwem, że nie jest pochyłą, wiecznie płaczącą wierzbą, na którą każda koza wskoczy, tylko zdrową wierzbą, która wstała z kolan i która,

zamiast się pochylać, potrafi zasumieć i wskoczyć na każdą kozę, żeby ją przywołać do porządku. I niech nikt nie wmawia, że się nie da, bo wypowiedzi premier Szydło i gorące powitanie jej na lotnisku pokazały, że wszystko się da, a każdą klęskę można zamienić w sukces.

Brukselski szczyt pokazał również, że nie jest prawdą, iż Polska jest dziś w Europie osamotniona i nie ma żadnego poparcia. Otóż ma ona w Europie silne poparcie i jest to poparcie Polski. To poparcie jest dla Polski absolutnie wystarczające i, jak się okazuje, w trudnych chwilach Polska zawsze może na nie liczyć. I nawet jeśli nikt w Europie nie traktuje już Polski poważnie, to w każdym razie ona sama traktuje siebie bardzo poważnie.

Moim zdaniem trochę nieeleganckie jest tylko to, że po swoim zwycięstwie Beata Szydło próbowała jeszcze znęcać się nad pokonanymi szefami 27 państw i całą Unią Europejską, grożąc, że nie podpisze konkluzji szczytu, przez co będzie on nieważny. Uważam, że premier Szydło powinna okazać trochę litości i konkluzję podpisać, pokazując, że Polska nie chowa urazy do przegranych. Rozumiem nieprzewartą chęć polskiego rządu do unieważniania wszystkiego, ale unieważniając szczyt, Beata Szydło unieważniłaby sukces, jaki na tym szczycie odniosła, a przecież nie o to chodzi. Dlatego mam nadzieję, że jak premier Szydło się wyśpi i odpocznie, to zmieni zdanie.





ELEGANCJA

— NA CO DZIEŃ Z —

LIVERGY®

od poniedziałku, 20.03

Marynarka

HIT CENOWY

79.-

Koszula

HIT CENOWY

37.99

Spodnie z twillu

HIT CENOWY

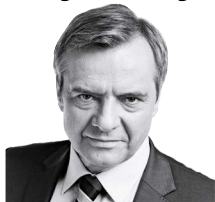
47.99

Kup książkę

więcej na www.lidl.pl



Ponieśliśmy zwycięstwo



Jerzy Baczynski

Nie mogło być inaczej: sporo w tym numerze piszemy o „brukselskim sukcesie” Beaty Szydło, która „poniosła wielkie zwycięstwo” (cytat z mema), broniąc (dalej będą cytaty z PiS) europejskiej jedności oraz godności Polski przed resztą Europy (działającą pod dyktando Niemiec) oraz przed Donaldem Tuskiem (niemieckim nominatem), nagrodzonym za wyprzedzanie polskich stoczni, który uczestniczy w ataku na Polskę pod flagami Unii Europejskiej... Można by to zdanie ciągnąć, ale po co? To tak jakby otwierać cudzą przesyłkę; te zdania są adresowane przede wszystkim do działaczy i wyborców PiS, którzy słysząc – jeśli słuchają niewłaściwych stacji lub osób – o dyplomatycznej katastrofie w Brukseli, przegranej 27:1, osobistym sukcesie Donalda Tuska i publicznej kompromitacji polskiego rządu, mogli przez chwilę zwątpić w geniusz prezesa oraz głęboki sens operacji „utłuc Tuska”. Wahający się i wątpiacy otrzymali nie tylko szybką podręczną argumentację (Niemcy, Niemiec, niemiecki), ale też widowisko: triumfalne, huczne powitanie Pani Premier na lotnisku, z osobistym udziałem Pana Prezesa oraz ministra Macierewicza (choć tym razem bez asysty wojskowej i apelu smoleńskiego). Tak wita się zwycięzców i bohaterów. Co było do okazania.

Przy okazji odsłoniły się sztywne elementy konstrukcyjne pisowskiej propagandy. Otóż każde wydarzenie jest interpretowane według tej samej prostej zasady: PiS nigdy nie przegrywa; jest albo triumfator, albo niewinna ofiara. Tak czy owak zawsze zwycięzca – realnym lub moralnym. Gdyby udało się zablokować kandydaturę Tuska, byłby to wielki sukces finezyjnej strategii Prezesa i „polskiej dyplomacji”; w przypadku sromotnej przegranej sukces nie jest mniejszy, bo jako jedyni bezkompromisowo bronimy zasad europejskich i swojego honoru. Ta formuła stosuje się i będzie stosowana do każdej sytuacji: gospodarki (jeśli wpadnie w kryzys i chaos, będzie to wina unijnej zmywy inspirowanej przez Tuska oraz patologicznych zachowań biznesu); unijnych dotacji, służby zdrowia, edukacji – wszędzie, jeśli coś się uda – to my; co złego – to nasi wrogowie. W tym propagandowym świecie każda klęska zamienia się w godnościowy sukces, mobilizuje do – jak się kiedyś mówiło – „jeszcze bardziej wytężonej walki” z atakującymi nas z zewnątrz i od wewnątrz wrogami. Ba, klęski są politycznie cenniejsze niż ewentualne sukcesy, które rozleniwiają, osłabiają spójność, determinację i poczucie krzywdy działaczy i wyborców.

My do tej retoryki godności i honoru, spisków i wrogów jakoś tam przywykliśmy, podobnie jak do pisowskiej taktyki politycznej, składającej się z marnych prawniczych trików, opatrzonej w pate-tyczne odwołania i prostackie pomówienia, ale polityczna Europa przeżyła pewien szok poznawczy. W dzień wyborów oglądałem zagraniczne telewizje, obserwując zmagania brukselskich korespondentów, aby wytłumaczyć swoim widzom, o co chodzi w atakach rządu polskiego na polskiego przewodniczącego Rady. Dominowały dwie hipotezy: mściwość Jarosława Kaczyńskiego, który wcześniej wielokrotnie przegrywał z Tuskiem wybory, uważa go za swojego osobistego wroga, współodpowiedzialnego za śmierć brata bliźniaka w katastrofie lotniczej; oraz zamiar utracenia Tuska jako przyszłego politycznego rywala i potencjalnego lidera opozycji. Mniej więcej taki przekaz docierał do tzw. europejskiej opinii publicznej, wzmacniając wizerunek Jarosława Kaczyńskiego („polskiego lidera”) jako polityka irracjonalnego, agresywnego, ulegającego obsesjom i żądzy odwetu. Wezwanie Donalda Tuska przez prokuraturę na świadka w jakiejś drugorzędnej sprawie dotyczącej działalności służb specjalnych potwierdza taki scenariusz: Kaczyński Tuskowi nie odpuści. Nigdy. Nie udało się z dymisją, to teraz zapewne były premier będzie grillowany przez prokuraturę w całym kraju i mielony przez propagandową maszynkę.

Jednak po „sukcesie brukselskim” konflikt Kaczyński–Tusk, przez dekadę organizujący polską politykę, nabrał nowego, międzynarodowego wymiaru. Pokazał, że istnieją różne Polski, a rząd PiS reprezentuje tylko część (mniejszość) ogólnie proeuropejskiego polskiego społeczeństwa. Fakt, że wszystkie kraje unijne jednoznacznie i demonstracyjnie opowiedziały się za Tuskiem, a przeciw rządowi, to jest prawdziwy wymiar porażki PiS. Tusk został przez Kaczyńskiego wykreowany w oczach unijnych partnerów na depozytariusza i gwaranta ciągłości polskiej demokracji (na wychodźstwie), a w planie wewnętrznym na przyszłego lidera polskiej opozycji i oczywistego kandydata w wyborach prezydenckich 2020 r. Wyznawcy strategicznego geniuszu Prezesa jeszcze się bronią, dowodząc, że teraz wszystkie ataki PiS na Unię i Niemców będą jednocześnie osłabiać polityczną siłę Tuska, ale taka teza wydaje się jednak mocno przekombinowana. Te ataki, z Tuskiem czy bez, były i będą, bo Unia to dla Prezesa niedopuszczalne zewnętrzne ograniczanie jego suwerennej władzy nad Polską, a przegrana Tuska dostarczyłaby tylko dowodu, że Zachodowi przyszłość Polski jest obojętna i zostawia Polaków z opresyjną władzą sam na sam. Tymczasem PiS odnotował ciężką polityczną i prestiżową porażkę, potraktowany przez resztę Europy jako „rząd tymczasowy”.

Po brukselskiej kompromitacji intensywność antyunijnej i antytuskowej propagandy zapewne niepomniernie wzrośnie, pytanie, czy jej skuteczność ograniczy się do twardego elektoratu obozu władzy, czy kropla po kropli PiS zdoła rozmiękczyć proeuropejskie nastroje 70–80 proc. Polaków i przygotować Polskę albo do całkowitego wyjścia z Unii, albo zaakceptowania jej statusu w strefie „najniższej prędkości”? Widać, że decydująca bitwa o naszą przyszłość rozegra się dopiero w latach 2019–20, a opozycja, dotąd pozbawiona głowy, dzięki Kaczyńskiemu nagle zyskała wodza. Niedawno nikt by nie uwierzył, że to znowu będzie Donald Tusk.

Jan Koza



© JAN KOZA



© ANDRZEJ JULIMKA/REPORTER

Kobiety nie zamilkną Tegoroczny 8 marca stał się dniem ogólnopolskiego protestu kobiet.

Po powrocie z Brukseli premier Szydło zastała na biurku list od Protestu Kobiet, pozapartyjnej organizacji, zawiązanej po październikowym „marszu czarnych parasolek”. Podpisały się pod nim symbolicznie tysiące kobiet, wychodząc 8 marca na ulice ponad 80 miast. Został on sformułowany jako seria retorycznych pytań: Dlaczego odbieracie kobietom prawo do ludzkiego porodu i dostęp do antykoncepcji? Dlaczego lekceważycie konwencję o przemocy i edukację seksualną? Dlaczego tzw. klauzula sumienia staje się narzędziem pozbawiającym kobiety należycie pomocy medycznej? Dlaczego dziesiątki posunięć rządu firmowanego przez kobietę skierowanych jest przeciw kobietom, a towarzysząca im retoryka czyni z nich zły, nieodpowiedzialny, jakiś w istocie gorszy sort człowieka?

Ile to było tysięcy osób – dowiedzieć się nie sposób; policja wydaje się już nawykowo zaniżać liczebność wszelkich protestów, a rządowa propaganda – deprecjonować ich powagę. Ale kwestia kobieca staje się niesłychanie poważna. Niezamierzenie PiS obudził w tysiącach, może nawet już milionach Polek świadomość swego położenia społecznego. Przez minione lata feminizm traktowany był przez większość z dystansem, jako wielkomiejski ekscentryzm. Tzw. kompromis aborcyjny jawił się jako bezpieczny (dopóki go przestrzegano). Niższe zarobki i emerytury, patriarchalne relacje w życiu prywatnym, zawo-

dowym i politycznym – wszystko to zdawało się stopniowo kruszeć, w miarę jak Polska wchodziła w obręb świata zachodniego z jego ideami równouprawnienia płci. W minionym tygodniu PiS na kilka sposobów ujawnił, że zawraca Polskę z tej europejskiej drogi. Ale im większą objawi determinację, tym silniejszy będzie opór. Również kwestia kobieca nabierze nowego wymiaru.

Wielu mężczyzn dotychczas, powiedzmy szczerze, traktowało te czarne, parasolkowe demonstracje o tyle przychylnie, że to jeszcze jedno narzędzie, by dołożyć PiS. 8 marca byli jednak obecni na ulicach liczniej niż poprzednio, rozumiejąc zapewne, że choćby prawa reprodukcyjne są wspólne. I fundamentalne dla praw i wolności człowieka.

Kobiety już nie zamilkną. Coraz więcej z nich uświadamia sobie, kile hipokryzji kryje się za tym całym polskim całowaniem rącek i obsypywaniem kwiatkami; jak wiele jest do zrobienia, by przestały być traktowane jako narzędzia w świecie męskich gier i ambicji. Nie wszystkie, oczywiście. Ale nawet pani premier (omamiona na razie kwiatami i fałszywymi rewerencjami po brukselskim „zwycięstwie”) kiedyś zda sobie z tego sprawę. Kiedyś pewnie przeczyta list od kobiet. Być może nawet ze zrozumieniem.

EWA WILK

KOMENTARZ

Jest już za późno? Nie jest za późno



Joanna Cieśla

Protesty przeciwko reformie edukacji nie mają szczęścia, by trafić we właściwy czas, zawsze coś je medialnie przytłumi. Ostatni strajk, 10 marca, zagłuszyły echa awantury wywołanej przez polski rząd w Brukseli wokół wyboru Donalda Tuska na szefa Rady Europejskiej.

Można powiedzieć: gdyby dzieci nie przyszły na lekcje – tak była pomyślana formuła strajku rodzicielskiego – we wszystkich szkołach w całej Polsce, odległość tematu od czołówek programów informacyjnych byłaby mniejsza. A jednak

antydeformatorskie protesty są coraz liczniejsze. Strajk 10 marca pierwotnie miał dotyczyć pięciu największych miast. Z czasem rodzice ze szkół w innych, mniejszych i większych miejscowościach deklarowali, że się włączą. Ostatecznie w każdym regionie w części placówek protestowano. Najczęściej w gimnazjach (w jednym z łódzkich frekwencja wyniosła 8 proc.), rzadziej w liceach i w podstawówkach.

Ruch sprzeciwu wokół deformy zbiera różne wyrzuty i zarzuty. Że za późno, zbyt rozdrobniony, że bez lidera, że mniej zborny niż akcja Karoliny i Tomasza Elbanowskich, wyrazistych przywódców sprzeciwu wobec obowiązku szkolnego dla 6-latków. Coś w tym jest. Wśród kontestujących aktualne pomysły władzy znalazłoby się równie przekonujący liderzy, tyle że wyzwanie tkwi gdzie indziej – w kontekście. Elbanowscy startowali w innej erze, przedfejsbukowej. Dziś serwisy społecznościowe ułatwiają zbieranie chętnych do wszelakich protestów, popychają do organizowania coraz to nowych akcji osoby, które bez tego narzędzia nigdy by się na to nie zdobyły. Co jednak utrudnia

integrację taką jak ta, która nastąpiła przy „ratowaniu maluchów”, gdy działała jedna poświęcona sprawie strona internetowa, a wszyscy zainteresowani – rodzice i dziennikarze – zgłaszali się do jednego małżeństwa, które postanowiło dać tematowi twarz.

Dziś problemem nie jest brak energii. Jeśli już, to jej nadmiar. Na pewno byłoby lepiej, gdyby uruchomiła się ona wcześniej, przed przyjęciem ustawy. Z natury ospałe środowiska nauczycielskie zawiódł nadmierny optymizm, niewiara, że zmiany nastąpią. A rodzicom uczniów teraz dopiero otwierają się oczy, co te zmiany oznaczają – gdy stają przed wyborem: zostawić dziecko w dotychczasowej szkole, która będzie pracować na trzy zmiany, czy przenieść je do mniej tłocznej, wyrwywając z zaprzyjaźnionej klasy? Te zmiany wciąż można wstrzymać, przesunąć ich wejście w życie – tak jak od opóźniania wejścia w życie obowiązku dla 6-latków zaczął się demontaż tamtego projektu. Protestujmy, zbierajmy podpisy pod wnioskiem o referendum. Nie wiadomo, czy władza przejmie się głosem ludu. Pewnie nie. Ale gdy ten głos zamilknie, nie przejmie się na pewno.

Sobala: z Trójki do Trujki

Nowy prezes Polskiego Radia wszedł do firmy (w memach przezywanej „Trujką”) w sposób zdecydowanie bardziej cywilizowany, niż był do niej wybierany. O odchodzącą prezes Barbarę Stanisławczyk żegnał kwiatami w obecności swego zastępcy oraz szefa Rady Mediów Narodowych Krzysztofa Czabańskiego.

Ale wcześniej właściwie wszystko poszło nie tak, jak planowano. Pierwszym akordem była nominacja na kolejną kadencję prezes Stanisławczyk, która jednak dzień po jej przyjęciu podała się do dymisji, aby potem próbować sprawę odkręcić. Drugim był wybór jej następcy, **Jacka Sobali**, 57-letniego byłego szefa m.in. Jedyńki i Trójki za pierwszych rządów PiS w Polskim Radiu (2006–10), ostatnio prowadzącego rozmowy z gośćmi „Gazety Polskiej” w TV. Najpierw przewodniczący Czabański ogłosił, że każdy z członków RMN będzie mógł zgłaszać swojego kandydata. Idąc za tym, Juliusz Braun zgłosił Lecha Parellę, byłego szefa Radia Gdańsk, a Czabański Sobalę. Parell przyjechał, wystąpił przed RMN, po czym doszło do kolejnego zwrotu – głosami członków z PiS Rada uznała, że do konkursu dopuszczeni zostaną tylko ci kandydaci, którzy awansowali do drugiego etapu poprzedniego konkursu. Wyeliminowało to Parellę, ale już nie Sobalę, który był w tym gronie. Ostateczny wybór był więc formalnością. – *Koleżanki i koledzy z PiS wyraźnie byli umówieni na Sobalę. I chcieli go tylko jak najszybciej przeformować* – twierdzi Juliusz Braun, reprezentujący PO członek RMN.

Przeforsowali kogoś, kto w rozgłoszeniach Polskiego Radia nie ma dobrej opinii, choć nie ma też najgorszej. – *Jacek za swojej poprzedniej bytności w radiu to był typ człowieka, który lubił przyjść do studia, pogadać, rozprzeć się w fotelu, a sprawy*



© PAP/GRZEGORZ JAKUBOWSKI

szły swoim torem. Nie sprawiał wrażenia przepracowanego się. Był raczej cynicznie minimalistyczny. Pilnował interesu, żeby nikt się nie czepiał. Jakieś koncesje programowe czy personalne na rzecz PiS wykonywał dopiero wtedy, gdy szły polecenia z góry – opowiada osoba, która pracowała wtedy z Sobalą w Polskim Radiu.

Po radiowych korytarzach krąży anegdota związana z gorącym czasem tuż po katastrofie smoleńskiej, gdy Sobala był szefem Trójki: jedyny raz, kiedy dziennikarze i serwisanci zobaczyli szefa, był wtedy, gdy wpadł do studia zapytać,

czy nie są głodni i czy może zamówić dla nich pizzę. – Teraz mam obawy, że się radykalizował i poprowadzi radio w kierunku ostrzejszej walki politycznej. Niebawem zaczniemy wchodzić powoli w kolejne kampanie wyborcze, co nie jest czasem uspokojenia w mediach – dodaje nasz rozmówca. Sobala już raz udowodnił, że zasada nieangażowania publicznej anteny w polityczną walkę jest raczej mu obca. Posadę szefa Trójki stracił w maju 2010 r., gdy na warszawskim koncercie ku czci ofiar katastrofy smoleńskiej, który był de facto wiecem poparcia kandydatury Jarosława Kaczyńskiego na prezydenta, czyniąc wyraźne aluzje do wydarzeń krzychał ze sceny: „Uwierzcie w to, że możemy skończyć z tym łajdactwem, że możemy skończyć z tymi kłamstwami”.

Na radiowych korytarzach już trwają spekulacje, kto straci stanowiska i kto przyjdzie z nowym szefem. Dzień po wyborze Sobala spotkał się z dyrektorami anten. – *Dowiedzieli się, że przyszedł, aby uspokoić sytuację, ale zmiany będą, choć nie powiedział jakie. Spodziewamy się, że zarówno programowe, jak i personalne* – twierdzi redaktor z Polskiego Radia. Wśród tych pierwszych wymienia się nie tylko dyrektorów Jedyńki i Trójki, Informacyjnej Agencji Radiowej oraz PR24, ale również ich zastępców. Przyjdą zapewne ludzie związani z „Gazetą Polską”, co stworzyłoby przeciwwagę dla TVP, wspieranej przez środowisko braci Karnowskich, z którymi są w konflikcie. Nie wszyscy jednak obawiają się rządów Sobali. – *Gdy w styczniu zeszłego roku PiS wybierał szefa radia, myślałem: wszyscy, tylko nie on. Ale po rządach Stanisławczyk zmieniłem zdanie. Gorzej już być nie może. On przy najmniej zna radio, nie jest takim amatorem jak inni z talii PiS* – twierdzi doświadczony radiowiec. (GR)

Sensus sensacyjny

Czy podejrzana umowa na ochronę obiektów PKP była inicjatywą prywatną, czy też miała związek z finansami partii rządzącej?

Afera z kontraktem (na prawie 2 mln zł) na ochronę obiektów PKP podczas ubiegłorocznych Światowych Dni Młodzieży, jak się okazało fikcyjnym, prowadzi w nieoczekiwaną stronę. Okazuje się, że szefową spółki Sensus, która dostała ten kontrakt bez przetargu, była w tym czasie pracownica PiS Ewa K. Miała wgląd w finanse partii, bo pełniła wcześniej rolę głównej księgowej Klubu Parlamentarnego PiS. W spółce Sensus posiadała 10 proc. udziałów. Pozostałe należały do jej współolnka, a później prezesa tej spółki Sławomira W., o którym media informowały, że był powiązany ze służbami specjalnymi. Teraz Sławomir W. jest jednym z podejrzanych o udział w aferze, w której pojawiają się wątki korupcyjne, a w tle wyłudzenia. Usłyszał już zarzuty, podobnie jak kilku wysokich urzędników PKP i jeden z oficerów BOR. Zdymisjonowano też szefa BOR Andrzeja Pawlikowskiego i Grzegorza Małeckiego z Agencji Wywiadu.

Sprawę ujawnił Leszek Kraskowski, były doradca Andrzeja Adamczyka, ministra infrastruktury, któremu podlega PKP.

Twierdzi, że alarmował ministra, iż kontrakt z firmą Sensus wygląda podejrzanie, ale w efekcie to on stracił pracę, a Sensusowanie nie wypowiedziano umowy. W poniedziałek 13 marca ministra Adamczyka wezwano na dywanik do prezesa PiS. W chwili kiedy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, nieznane były jeszcze decyzje Jarosława Kaczyńskiego. Zarówno min. Adamczyk, jak i była główna księgowa PiS Ewa K. to osoby z najbliższego kręgu zaufanych Kaczyńskiego.

Znaszych informacji wynika, iż wśród osób przewijających się w aferze zapanowała panika, że trafiać do aresztów. Były szef BOR Andrzej Pawlikowski trafił do szpitala, a prezes Sensusa Sławomir R. wysłał sygnały, że ujawni kulisy całej sprawy, jeżeli nie dostanie gwarancji bezpieczeństwa. I to będzie najciekawsze, kto kryje się za tymi kulisami. Czy przewałka dotycząca kontraktu była jedynie prywatną inicjatywą podejrzanych, czy też miała związek z finansowaniem partii rządzącej? (P.P.)



Kłeska genialnego stratega

Brukselska kłeska obnażyła jakość polityki PiS i pokazała, że Jarosław Kaczyński jest zdolny do zachowań irracjonalnych, byle wyrównać polityczne czy osobiste rachunki.

W dyplomacji bardzo rzadko zdarzają się tak spektakularne i upokarzające klęski jak ta poniesiona w ubiegłym tygodniu przez polski rząd przy wyborze przewodniczącego Rady Europejskiej. Nadzwyczajne jest także to, że jedno wydarzenie stwarza okazję do dokonania całościowej oceny jakości przywództwa państwowego. Polacy dostali ją 9 marca 2017 r., śledząc informacje napływające z Brukseli.

Premier polskiego rządu z rozpaczliwą determinacją próbowała zablokować wybór swojego rodaka na ważne i prestiżowe stanowisko w Unii Europejskiej. Jej postawa doprowadziła do konieczności przeprowadzenia formalnego głosowania w Radzie Europejskiej, w którym przegrała stosunkiem głosów 1 do 27.

Beata Szydło nie umiała przyjąć porażki z godnością. Płaciliwie żaliła się na konferencji prasowej na złamanie zasad UE podczas tego głosowania (co świadczyło o tym, że nie zna traktatu lizbońskiego) i złamanie dobrych obyczajów, czym miał być wybór Polaka wbrew stanowisku polskiego rządu. Prawdą jest, że była to sytuacja bezprecedensowa w historii Unii Europejskiej. Jednak nie zdarzyła się ona przypadkowo. Była konsekwencją europejskiej polityki rządu PiS prowadzącej do izolacji Polski, a także następstw łamania w naszym kraju konstytucji i praworządności przez rządzących.

Niestety, Polska nie spełnia już kryteriów, które zostały określone przez Radę Europejską w 1993 r. w Kopenhadze dla państw kandydujących do Unii w kwestiach dotyczących rządów prawa. Nie współczuję premier Szydło ani ministrom Waszczykowskiemu i Szymańskiemu. Dali się sprowadzić do roli marionetek i płacą za to rachunek. Kosztem Polski. Dla wszystkich jednak powinno być oczywiste, że architektem polityki, która poniosła spektakularną klęskę, jest Jarosław Kaczyński. Nie tylko jego zwolennicy, ale także wielu przeciwników widzi w nim wytrawnego stratega z namysłem planującego na politycznej szachownicy kilka ruchów do przodu.

Owszem, w jednej dziedzinie dostrzegam logiczny i konsekwentnie realizowany plan. Dotyczy on koncentrowania władzy w jego rękach i usuwania przeszkód na drodze prowadzącej do tego celu. W tych sprawach Jarosław Kaczyński działa metodycznie, krok po kroku. Potrafi też czekać. W ciągu kilku miesięcy Kaczyński zamienił prokuraturę – za pośrednictwem Zbigniewa Ziobry – w posłuszne narzędzie władzy politycznej. Rozprawa z Trybunałem Konstytucyjnym zabrała mu rok. Dopiero potem nastąpił atak na Sąd Najwyższy i Krajową Radę Sądownictwa. Następnym krokiem będzie próba podporządkowania sędziów sądów powszechnych.

Są ważne sfery działalności państwa, którymi Jarosław Kaczyński się nie interesuje. To, co się w nich dzieje, w dużej mierze jest kwestią przypadku. Oczywiście z polityką zagraniczną jest inaczej. To prezes PiS wyznacza jej kierunki i podejmuje kluczowe decyzje. To on doprowadził do brukselskiej klęski. Dlaczego?

Jarosław Kaczyński to nie tylko polityczny szachista. To także człowiek zdolny do zachowań irracjonalnych: szkodzących

Polsce, obozowi politycznemu, któremu przewodzi, a także jemu osobiście. Najczęściej postępuje tak, gdy chce wyrównać polityczne czy osobiste rachunki, gdy mści się za prawdziwe czy wydumane krzywdy.

Beata Szydło zachowywała się 9 marca w Brukseli irracjonalnie i poniosła klęskę, gdyż jej szef opętany jest żądzą zemsty na Donaldzie Tusku. Nie liczył się ani polityczny interes Polski, ani jej wizerunek. Ważna była tylko obsesja jednego człowieka. Nie wiem, czy Jarosław Kaczyński wierzył, że są jakieś szanse na zablokowanie wyboru polskiego polityka na ważne europejskie stanowisko. Jeśli nawet tak było, nie mógł oceniać ich wysoko. Mógł się uchylić od starcia z Tuskiem rozgrywanego *per procura* na europejskiej arenie. A jednak podjął je i miażdżąc przegrał, wzmacniając bardzo pozycję w Polsce swego znienawidzonego rywala. Gdzie tu logika? Nie należy się jej doszukiwać tam, gdzie rządzą obsesje i wielkie negatywne emocje.

Kto przegrał w Brukseli? Polski rząd, faktycznie kierowany przez Jarosława Kaczyńskiego, czy Polska? Klęska władzy jest oczywista. Niestety, nie da się jednak oddzielić położenia rządu od sytuacji, w jakiej znajduje się nasz kraj. Oczywiście dobrze się stało, że Donald Tusk, ceniony przez europejskich przywódców i wypełniający swe obowiązki w co najmniej poprawny sposób, pozostanie na swoim stanowisku na drugą kadencję. 9 marca mogliśmy jednak także zobaczyć, jak zmieniło się międzynarodowe położenie Polski od czasu przejęcia władzy przez PiS. W Unii Europejskiej jesteśmy kompletnie izolowani. Polityka europejska Jarosława Kaczyńskiego od początku była budowana na fałszywych przesłankach i pobożnych życzeniach: sojusz z Wielką Brytanią, przywództwo w Grupie Wyszehradzkiej, ze szczególnym znaczeniem przypisywanym osi Warszawa–Budapeszt, Międzymorze...

W ostatni czwartek nastąpił sprawdzian: 1 do 27, Polska przeciwko wszystkim innym państwom UE... popierającym Polaka. Tego faktu nie jest w stanie przykryć propagandowa kampania PiS i mediów rządowych przedstawiająca klęskę jako wielki moralny sukces i obrażająca europejskich partnerów Polski.

Czy Jarosław Kaczyński zamierza wyprowadzić Polskę z UE? Nie sądzę, aby taki był jego plan, ale to, co nastąpiło do tej pory, jest wystarczająco niebezpieczne dla naszego kraju: izolacja Polski w Unii Europejskiej w sytuacji, gdy Rosja umacnia swoją światową pozycję i nie kryje swych intencji dotyczących naszego regionu Europy. Kaczyński obawia się Rosji... ale prowadzi politykę służącą jej interesom. Gdzie tu logika? Proszę się jej nie doszukiwać, bo jej nie ma.

Brukselskie głosowanie stworzyło okazję wszystkim Polakom, także sympatykom PiS i ludziom nieinteresującym się polityką, aby dostrzec jakość polityki zagranicznej naszego państwa pod rządami Jarosława Kaczyńskiego i jej kierunek. Liczę na to, że podrażniona dumą narodowa skłoni pewną część z nich do refleksji i wyrwie z bierności. Jednego jestem pewien. Kapitan polskiej nawy państwowej z własnej inicjatywy nie zmieni kursu, który wybrał. Będzie to nadal kurs prowadzący na skały.



Zwolennicy Erdoğan pod konsulem tureckim w Rotterdamie

Nowa Liga Święta

Turcja pod rządami prezydenta Erdoğan weszła w ostry dyplomatyczny konflikt z Europą.

Jeden z prorządowych publicystów tureckich napisał, że „Turcja tym razem wygra bitwę pod Lepanto”. Miał na myśli jedną z najkrwawszych bitew morskich, w której w 1571 r. chrześcijańska Liga Święta pokonała Imperium Osmańskie. Floty nadal stoją w portach, ale ostrzał dyplomatyczny już trwa.

W sobotę holenderskie władze zakazały lądowania w Rotterdamie szefowi tureckiego MSZ. Mevlüt Çavuşoğlu (czyt. Czawuszolu) na specjalnym wiecu miał przekonywać mieszkających tam Turków do poparcia w referendum 16 kwietnia zmiany tureckiej konstytucji. Tego samego dnia holenderska policja nie pozwoliła wejść do tureckiego konsulatu w Rotterdamie tureckiej minister ds. rodziny, która również przyjechała do Holandii wiecować. Dzień później na kontrwiecu w Stambule prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan zarzucił Holendrom, że są „pomiotami nazistów”. Wieczorem Turcja zamknęła holenderskie konsulaty w Stambule i Ankarze oraz nie pozwoliła na powrót holenderskiego ambasadora, który akurat był poza Turcją.

Holendrzy podobno wielokrotnie apelowali, aby tureccy ministrowie nie przyjeżdżali przed holenderskimi wyborami parlamentarnymi 15 marca, bo mogłoby to wywołać niepotrzebne emocje – Erdoğan jest szwarczakiem dla holenderskiej skrajnej prawicy. Z kolei tureckiemu rządowi zależało na wizytach, bo z sondażu wynika, że los referendum, które może nadać Erdoğanowi pełnię władzy, nie jest przesądzony, a w Holandii mieszka ok. 400 tys. Turków z prawem do głosu. Prewencyjny sprzeciw Holandii tylko sprowokował tureckie władze, bo element zewnętrznego wroga doskonale wpisuje się w ich referendalną kampanię.

Po stronie Holendrów opowiedziały się inne rządy europejskie. Gdy kilka dni wcześniej niewielkie niemieckie miasto odwołało wiec Çavuşoğlu (oficjalnie ze względów bezpieczeństwa), Berlin umył ręce, ale w sobotę twardo poparł Holendrów. Duński premier w ostatniej chwili odwołał swoje spotkanie z premierem Turcji, a Austria ekspresowo przyjęła ustawę zabraniającą prowadzenia zagranicznych kampanii na jej terytorium.

A wszystko to w krytycznym momencie rozmów między Unią Europejską a Turcją w sprawie ruchu bezwizowego. Obok 6 mld euro pomocy, to właśnie zniesienie wiz miało być ceną, za którą Europa kupiła sobie od Turcji spokój z imigrantami – Ankara zobowiązała się ich zatrzymać. Teraz może uznać, że umowy nie było.

Są jeszcze sądy w Seulu

Park Geun-hye nie jest już prezydentem Korei Płd. Ośmioro sędziów sądu konstytucyjnego jednogłośnie utrzymało decyzję parlamentu o impeachmentcie. Uznała, że pani prezydent złamała konstytucję, czyniąc ze swej przyjaciółki szarą eminencję, która bez uprawnień wpływała na bieg spraw państwowych i czerpała profity na styku polityki i biznesu. W społeczeństwie kurczowo trzymającym się hierarchii pokójowe obalenie najpotężniejszego polityka to duża rzecz. Pani Park straciła uposażenie i immunitet, prokuratura prawdopodobnie postawi jej

zarzuty korupcji i przekroczenia uprawnień. Park może więc dołączyć do kilkudziesięciu osób zamieszanych w skandal, w tym swojej przyjaciółki, byłych współpracowników i zarządzającego Samsungiem, głównej firmy kraju, podejrzanych o korupcję.

Smutny triumf demokracji nie byłby możliwy bez trwających od jesieni demonstracji, rewolucji w blasku świec. W cotygodniowych, także wieczornych, protestach brały udział setki tysięcy obywateli. Po ogłoszeniu werdyktu zadowoleni znów wyszli na ulice. Maszerowali również zwolennicy Park, w ich starciach z policją zginęły trzy osoby. Na pilne rozwiązanie czekają teraz trzy kwestie: od – pewnie majowego – wyboru prezydenta, przez reformę sprzyjającą

go łapownictwu państwowego wsparcia dla prywatnego biznesu, po próbę opanowania sytuacji w niespokojnym regionie.

Nowy prezydent, bez czasu na przygotowanie, wpadnie w kłębowski interesów globalnych potęg. Chiny proponują, że zajmą się uzbrojeniem w broń jądrową i rakiety Korea Płn., jeśli Południe ograniczy sojusz wojskowy z Ameryką. Konserwatystka Park trzymała Chińczyków na dystans, nie dawała się wojennym szantażom Północy i próbowała dogadywać z Japonią. Teraz rachuby są takie, że skandal osłabi konserwatystów i wyprumuje postępców, z reguły nastawionych bardzo nieufnie do kuzynów z Północy. I kimkolwiek następcy będą, dostaną wolną rękę w wyrzuceniu do kosza każdej decyzji skompromitowanej poprzedniczki.



Największy na świecie Śiwadźi

W Mumbaju, na sztucznej wyspie na otwartym morzu, 4 km od portu, powstanie pomnik Śiwadźiego, największy monument na świecie: Statua Wolności razy dwa i Chrystus z Rio razy pięć, 1,7 tys. ton spiżu. Sama podstawa ma mieć wysokość 10 pięter, a na wierzchołek z niezapomnianym widokiem prowadzić mają windy. To trochę musi kosztować: na dziś pół miliarda dolarów, ale gdyby brać pod uwagę tylko pieniądze Tadž Mahal nigdy by nie powstało – podsumował twórca projektu, 91-letni Ram Sutar.

Ów Śiwadźi, który będzie siedział na największym na świecie rumaku, to wybitna po-

stać historyczna: mężny wojownik z XVII w., który oswobodził Maharasztrę spod władzy Wielkich Mogołów i ogłosił się władcą. Zbudował imperium Marathów, stworzył sprawną administrację, podźwignął skarb państwa i zreformował armię. Wszystkie te dokonania i przymioty podkreślał premier nacjonalista Narendra Modi, który uczestniczył w uroczystości położenia (utopienia) kamienia węgielnego. Przegnanie muzułmanów i przemiana „z prostego wieśniaka w króla” tworzą z tej historycznej postaci kolejny punkt odniesienia. Modi, stawiając pomnik Śiwadźiemu, niewątpliwie stawia go sobie. Sam zaczynał jako sprzedawca herbaty.



Trump w Baku

Tygodnik „The New Yorker” przyjrzał się inwestycji, którą uznał za wyjątkowo chybione przedsięwzięcie biznesowe prezydenta USA Donalda Trumpa. Budowany od 2008 r. 130-metrowy pięciogwiazdkowy hotel Trump Tower w Baku jest prawie ukończony, ale nie został jeszcze otwarty. Przyczynił się do tego ciąg decyzji. Luksu-

sowy przybytek postawiono w mizernym rejonie śródmieścia, z dala od prestiżowego nadmorskiego bulwaru. Trump użyczył swój dobrze rozpoznawalny szyld w momencie, gdy niskie ceny ropy naftowej kończyły szaloną dekadę futurystycznego budowania spod znaku stali, szkła i wysokości. Wraz z ceną ropy spadło też zapotrzebowanie na drogie noclegi w stolicy petropaństwa.

Wyglądałoby to może na łowienie okazji, gdyby inwestycji nie prowadziła rodzina Ziji Mamedowa, byłego już ministra transportu, urzędnika ze skromną pensją, miliardowym majątkiem, wpływami oligarchy, reputacją łapownika i przydomkiem Corleone znad Morza Kaspijskiego. Decyzję o wyburzeniu domów stojących na miejscu hotelu uzasadniono ważnymi powodami państwowymi. Zagranicznym wykonawcom płacono gotówką, by nie pozostawiać śladów w systemie bankowym. Jakby tego było mało, szemrany minister ma na koncie interesy ze Strażnikami Rewolucji, odnogą irańskich sił zbrojnych kontrolujących lukratywne branże tamtejszej gospodarki. Ameryka od lat przypisuje Strażnikom wspieranie międzynarodowej przestępczości i terroryzmu, o co Iran oskarża nawet sam Trump.

Kosowo chce armii

Prezydent Kosowa Hashim Thaçi straszy obecnością Rosjan w Serbii, by odwrócić uwagę od projektu utworzenia regularnej armii. Licząca 5 tys. żołnierzy i 3 tys. rezerwistów formacja miałaby bronić suwerenności i integralności kraju, ale do realizacji tego planu potrzebna byłaby zmiana konstytucji. Dodatkowo regularna armia pod boki nie podoba się też sąsiedniemu Belgradowi. Serbia uważa, że to naruszenie rezolucji 1244 Rady Bezpieczeństwa ONZ oraz zagrożenie dla serbskiej mniejszości na północy Kosowa. Obawia się, że do głosu dojdą dawni partyzanci Wyzwoleńczej Armii Kosowa.

Serbia ma mocne wsparcie, sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg przestrzegł Prisztinę przed urzeczywistnieniem pomysłu z armią, grożąc rewizją zaangażowania Sojuszu w Kosowie. Także Stany Zjednoczone, najważniejszy protektor Prisztiny, zagroziły „oceną dwustronnej współpracy i wieloletniej pomocy”, głównie finansowej. To oznacza, że Waszyngton podziela obawy Belgradu. Dziś w Kosowie stacjonuje 4,5 tys. żołnierzy KFOR pod dowództwem NATO. Powołanie regularnej armii stawia pod znakiem zapytania rolę sił międzynarodowych. Z kolei ich wyjazd grozi eskalacją konfliktu z Serbią. Belgrad, zwłaszcza w przededniu wyborów prezydenckich, zapewnia, że użyje środków politycznych, a nawet wykorzysta serbską mniejszość, by zablokować projekt w parlamencie. Nieuznający niepodległości Kosowa Serbowie obawiają się, że prowokacje Prisztiny zablokują ich rozpoczęte negocjacje z Unią.





© STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

Trybunał versus Konstytucyjny

Czy wyrok wydany przez nie-sędziów to wyrok? W czwartek na to pytanie odpowiedzą sędziowie Trybunału Konstytucyjnego. Spór o TK wkracza w nową fazę.

EWA SIEDLECKA

Na te rozstrzygnięcia czekają zwłaszcza ci, którzy mogą zapłacić największą cenę za nieuznanie tego i innych wyroków wydanych przez Trybunał z udziałem dublerów sędziów (wybranych na miejsca już zajęte): sędziowie sądów powszechnych i administracyjnych. A także Sądu Najwyższego i Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Jutro (w czwartek) Trybunał ma wydać pierwszy po „dobrej zmianie” wyrok w pełnym składzie. To będzie orzeczenie w symbolicznej sprawie: pisowskiej ustawy ograniczającej wolność zgromadzeń. Ustawę do Trybunału posłał – przed podpisaniem – prezydent Andrzej Duda.

Orzeczenie pokaże, do czego PiS-owi ma służyć Trybunał. I jak zamierzają się w nim zachowywać sędziowie wybrani przed „dobrą zmianą”. Sprawę ma osądzić Trybunał w pełnym składzie. I może zabraknąć do niego minimum 11 sędziów, bo na wniosek prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobry Trybunał wyłączył trzech sędziów i jest wątpliwość, czy czwarty może w tej sprawie orzekać (o czym dalej). A piąty – wiceprezes TK Stanisław Biernat – jest na przymusowym urlopie.

Sprawozdawcą sprawy będzie dubler sędziego Mariusz Muszyński. Prokurator generalny i Sejm uważają, że ustawa nie narusza konstytucji.

Zarówno orzeczenie o zgodności, jak i niezgodności z konstytucją będzie służyć PiS, tyle że do innych celów. Orzeczenie zgodności oznacza, że miesięczne smoleńskie czy inne zgromadzenia zarejestrowane jako „cykliczne” będą miały pierwszeństwo przed wszelkimi innymi zgromadzeniami. I uniemożliwi kontrdemonstracje. Orzeczenie o niezgodności z konstytucją posłuży do uwiarygodnienia w opinii publicznej „naprawionego” Trybunału.

Niezależnie od rozstrzygnięcia i tak rozpocznie się kolejny konflikt o ważność wyroków Trybunału. Bardziej rujnujący praworządność niż poprzedni. Przez rok mieliśmy spór, czy niepublikowane wyroki Trybunału są wyrokami i obowiązują.

Teraz powstanie problem, czy rozstrzygnięcia z udziałem dublerów sędziów są wyrokami i obowiązują. W składzie sądzącym sprawę zgromadzeń jest trzech dublerów, czyli nie-sędziów: Henryk Cioch, Lech Morawski i Mariusz Muszyński. Zostali wybrani przez Sejm na prawidłowo wcześniej obsadzone miejsca i w świetle wyroków Trybunału z 3 i 9 grudnia 2015 r. (które PiS nawet opublikował!) nie są sędziami. Zaś rozstrzygnięcie wydane z udziałem nie-sędziego nie jest wyrokiem.

Tak zgodnie stwierdzili uczestnicy zorganizowanej 4 marca przez Uniwersytet Śląski konferencji na temat bezpośredniego stosowania konstytucji przez sądy powszechne w sytuacji przejęcia Trybunału przez władzę polityczną. Taką opinię wyraził na niej m.in. wieloletni prezes Izby Cywilnej Sądu Najwyższego i niekwestionowany autorytet w dziedzinie prawa cywilnego prof. Tadeusz Ereciński. Jego rekomendacja jest dla sędziów niczym uchwała Sądu Najwyższego.

Jeśli Trybunał uzna ustawę za zgodną z konstytucją, ci, których demonstracje zostaną zakazane, bo w tym miejscu i czasie zarejestruje się jakieś „zgromadzenie cykliczne”, będą się skarżyć do sądów, że naruszono ich konstytucyjną wolność zgromadzeń. I sądy – z Sądem Najwyższym – zdecydują, czy rozstrzygnięcie wydane przez TK z udziałem nie-sędziów jest wyrokiem, a więc obowiązuje, czy też mogą same ocenić zgodność z konstytucją zakazów zgromadzeń.

PiS zależy na prowokowaniu prawnego chaosu, bo to prowadzi do spadku zaufania do sądownictwa i uwiarygodnia twierdzenie, że całe jest do wymiany (na swoich). Zapewne dlatego mianowana prezesem TK Julia Przyłębska i upelnomocniony przez nią

do wykonywania obowiązków prezesa Mariusz Muszyński pilnują, by w każdym składzie sąjącym znalazł się dubler. Pozmieniali wiele składów ustalonych wcześniej. A w Trybunale czeka ponad 200 spraw, w tym te wprowadzające „dobre zmiany”.

RPO Adam Bodnar wystąpił z wnioskiem o wyłączenie z wniesionej przez siebie sprawy (opłat przedszkolnych dla dzieci dyplomatów) dwóch dublerów: Morawskiego i Muszyńskiego. Jego wniosek rozpoznało dwoje sędziów wybranych przez PiS: Julia Przyłębska i Zbigniew Jędrzejewski oraz dubler Henryk Cioch. To, że w sprawie dublerów orzekł dubler, trudno potraktować inaczej jak prowokację. Ten skład uznał, że wniosek RPO jest pozbawiony podstaw prawnych, bo formalnie nie istnieje taka podstawa wyłączenia sędziego jak niebycie sędzią.

Bojąc się nieważności wyroków, wnioskodawcy wycofują sprawę. Lubuskie gminy dwa tygodnie temu wycofały z Trybunału sprawę o nakładanie na samorządy przez władzę centralną zadań bez przekazywania na nie pieniędzy. W składzie sąjącym był dubler Muszyński. W piątek Krajowa Rada Sądownicza podjęła uchwałę o wycofaniu z Trybunału czterech wniosków, m.in. w sprawie ustawy o prokuraturze, która uzależniła ją całkowicie od władzy politycznej. I przepisu nakazującego sądowi karnemu przyjęcie dowodów zdobytych przez funkcjonariuszy z naruszeniem prawa (np. przez kradzież, oszustwo, szantaż, nielegalny podsłuch). KRS uzasadnia decyzję tym, że do składów wyznaczono dublerów: „Doktryna prawa wskazuje, że w takich przypadkach możemy mieć do czynienia z orzeczeniami nieistniejącymi (*sententia non existens*). Taka sytuacja może doprowadzić do chaosu prawnego, a wydane orzeczenia mogą być kwestionowane przez pełnomocników stron także w procesach przed sądami europejskimi”.

Część składów sąjących w TK wyznaczał dubler Mariusz Muszyński. Czy te decyzje są ważne, skoro podejmował je nie-sędzia, a więc osoba nieuprawniona? Sytuacja się komplikuje, jeśli – prawdopodobnie w czerwcu – Sąd Najwyższy odpowie na pytanie prawne Sądu Apelacyjnego w Warszawie, które zmierza do ustalenia, czy Julia Przyłębska została skutecznie obsadzona jako prezes Trybunału. Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK nie podjęło bowiem uchwały o przedstawieniu jej kandydatury prezydentowi, ograniczono się tylko do głosowania nad kandydatami: Przyłębską i Muszyńskim. A głosowanie przeprowadzono według nieistniejącej wtedy procedury (weszła w życie dwa tygodnie później).

Jeśli Sąd Najwyższy orzeknie, że Przyłębska nie została skutecznie prezesem, to wszelkie jej decyzje – w tym włączenie do orzekania dublerów i wyznaczanie składów – będą nieważne. Oczywiście „tylko” prawnie. Politycznie PiS zapewne nie uzna tego wyroku SN i ogłosi, że Przyłębska została wybrana skutecznie.

PiS już szykuje sobie instrument do negowania rozstrzygnięć Sądu Najwyższego: zaskarżył do Trybunału wybór jego pierwszej prezesa Małgorzaty Gersdorf. We wniosku PiS postuluje, by Trybunał przy okazji orzekł o nieważności czynności, których dokonała przez dwa i pół roku prezesowania. A mogła np. wyznaczyć przewodniczącego wydziału, do którego trafiło pytanie o legalność mianowania Przyłębskiej, a to przewodniczący wyznacza skład sąjący.

PiS z pewnością wymyśli jakiś pretekst, by nie uznać tego wyroku. Jeśli wcześniej nie dokona ustawowej „dobrej zmiany” w Sądzie Najwyższym. A mówi się, że zamierza go przejąć także dlatego, że SN orzeka o ważności wyborów.

Kwestionowanie umocowania Gersdorf to odwet za Przyłębską. Podważa się prawomocność trzech dublerów? To prokurator generalny Zbigniew Ziobro skierował do Trybunału wniosek o zbadanie legalności wyboru w 2010 r. trzech sędziów: Stanisława Rymara, Piotra Tulei i Marka Zubika. Rzekomo wybra-

no ich jedną uchwałą, co narusza zasadę, że wyboru dokonuje się „indywidualnie”. W rzeczywistości nad każdym głosowano oddzielnie i każdego wybrano na określoną datami kadencję. Sprawa leży w Trybunale nierozpatrzona, dzięki czemu można żądać wyłączenia tych trzech sędziów z orzekania do czasu jej rozpatrzenia.

Ziobro właśnie to zrobił: jako uczestnik postępowania w sprawie ustawy o zgromadzeniach. Uzasadnienie? Bo sędziowie Rymar, Tuleja i Zubik mogą mieć żal do Ziobry, że zakwestionował ich wybór, i orzec mu po złożeniu w sprawie wniosku prezydenta o zgromadzeniach. Ziobro nie dostrzegł natomiast jak dotąd powodu do żądania wyłączenia sędziego Michała Warcińskiego, który w zeszłym roku (jako mianowany w ramach „dobrej zmiany” szef Biura Analiz Sejmowych) opiniował ustawę, którą teraz ma sędzić. Wniosek o wyłączenie mógłby jeszcze złożyć sam Warciński lub prezydent – jako uczestnik postępowania. PiS dostał już wszystko: swojego prezesa, swoje składy, swoją większość w orzekaniu.

Co na sytuację w Trybunale „starzy” sędziowie? Ku rozczarowaniu wielu prawników i osób kibicujących obronie niezależności Trybunału uznali władzę prezesa Przyłębskiej. Ich opór ograniczył się do nieoddania głosów w wyborach kandydatów na prezesa. I do oświadczenia do protokołu, że uważają, iż wybór odbył się z naruszeniem prawa. Dołączył do nich wybrany przez PiS Piotr Pszczółkowski.

Miesiąc temu napisali do prezesa Przyłębskiej z prośbą o pilne spotkanie, by omówić nowe porządki w Trybunale: posyłanie sędziów na przymusowe urlopy (tak pozbyto się wiceprezesa Stanisława Biernata), łączenie przez Mariusza Muszyńskiego funkcji sędziego i szefa trybunałowej administracji, otwieranie przez Mariusza Muszyńskiego korespondencji, która na ich nazwisko przychodzi do Trybunału.

Prezes Przyłębska odmówiła spotkania, uznając, że działa w ramach swoich kompetencji i nie musi z nikim tego omawiać. To zachowanie równie symboliczne dla obecnych stosunków w Trybunale, jak wyrzucenie wiceprezesa Biernata z jego gabinetu czy zakazanie mediom nagrywania rozpraw. Jednocześnie ponad 30 pracowników Trybunału dostało propozycje zmiany warunków zatrudnienia na warunki nie do przyjęcia. Alternatywą jest zwolnienie.

Do legalności orzekania przez dublerów „starzy” sędziowie mają stosunek niejasny. Sędziowie Biernat, Tuleja i Zubik nie orzekali z dublerami, więc nie mieli okazji pokazać, czy ich uznają czy nie. Sędzia Rymar wydał z dublerami kilka postanowień i poprowadził jedną (zawieszoną potem) rozprawę z dublerem (Muszyńskim), a więc widać, że ich uznaje. Sędzia Stanisława Wronkowska-Jaskiewicz nie zgłosiła zdania odrębnego, orzekając (postanowienie o umorzeniu sprawy z powodu wycofania skargi) z dublerami Ciochem i Morawskim. Można więc sądzić, że uznała ich prawo do orzekania. Podobnie zachował się sędzia Leon Kieres. Sędzia Małgorzata Pyziak-Szafnicka wydała z dublerami jedno postanowienie i jeden wyrok. Od wyroku złożyła zdanie odrębne. Ale nie kwestionowała prawa dublera do orzekania, tylko to, że o owym prawie decydował skład z dublerem (Ciochem), który mógł być stronniczy. Natomiast od postanowienia wydanego z dublerem sędzią Pyziak-Szafnicka *votum separatum* nie złożyła.

Czwartkowa rozprawa w sprawie prawa o zgromadzeniach pokaże, czy sędziowie TK uznają prawo dublerów do orzekania czy nie. Ich zachowanie nie wiąże sędziów sądów powszechnych i innych, ale będzie miało znaczenie moralne.

Ale chaos prawny będzie tak czy inaczej. I będzie to tzw. zwycięstwo PiS. Identyczne z odniesieniem w Brukseli w sprawie Donalda Tuska: destrukcja i kompromitacja państwa. A PiS obciąży tym sędziów, tak jak swoją kompromitacją w Brukseli obciążył domniemany niemiecki spisek. A katastrofą smoleńską – spisek Putina z Tuskiem. ■